

665

Nigdy nie pisałem recenzji teatralnych i to nie dlatego, że obawiałem się narazić dyrektorom teatrów, którzy nie zapraszaliby mnie już na premiery, gdybym pisał niepochlebnie o spektaklach, ale dlatego, by nie narazić się krytykom, którzy laikowi nie darowałiby zapewne „uprawiania” obcego pojęcia. A więc i dziś nie będę oceniał reżyserii, scenografii, gry aktorskiej itp. elementów sopockiej premiery sztuki Gabrieli Zapolskiej „Kobieta bez skazy”, a nawet dotychczasowych recenzji. Chciałbym natomiast wydedukować z treści utworu pewne wnioski moralne. Czy mają one uniwersalny charakter, czy też dotyczą tylko, jak chciała autorka, społeczeństwa burżuazyjnego, niech czytelnicy rozstrzygną sami.

Najbardziej ogólny wniosek można by, w odniesieniu do sfery stosunków damsko-męskich, ująć następująco: w swoim postępowaniu należy być konsekwentnym; każde odejście od przyjętych i, co bardzo ważne, znanych otoczeniu zasad traktowane jest jako zdrada idealów (a nie jako postępowanie niepoważne, żart) i jako takie zostaje przez otoczenie osądzone. I tak główna bohaterka (Rena), ascetka, uchodząca za wzór cnót moralnych (na pół panieńskich, na pół prawie już wdowieńskich), pódępiająca wszelkie hedonistyczne zamysły i praktyki otoczenia, w tym swojej kuzynki, po pierwszej próbie zakosztowania „owocu zakazanego” (aby się tylko przypodobać środowisku moralnie zdeprawowanemu) zostaje natychmiast osądzona, więcj: wzgardzona. Podobnie jej przeciwieństwo: Profesor, używający światła; przy pierwszej próbie potraktowania przedstawicielki drugiej płci serio, z uczuciem, otrzymuje gorzką pigułkę. Asymetria pragnień i poczynań, wartości i ocen staje się tu oczywista.

Inny wniosek natury ogólnej da się sformułować tak oto: ludzie postępujący niemoralnie czynią tak najchętniej pod osłoną moralną domu, cieszącego się nieskazitelną opinią — i wara, żeby ten gwarant przyzwoitości zaczął postępować podobnie jak oni. Zło moralne chętnie ukrywa się pod maską dobra; dla ludzi tak postępujących ma to być próba, jak można sądzić, samousprawiedliwienia, dla otoczenia jest to przebiegłość szyta grubymi nićmi. Dobro potrzebuje jako kontrastu zła, by uchodzić za dobro; zło zaś potrzebuje maski, by się nie obnażało zanadto i dlatego jest złem spotęgowanym, swielokrotnionym.

KAROL TOEPLITZ

Kobieta bez skazy?

Ala wniosek mówiący o ukrywaniu się zła pod maską domu uchodzącego za wzorowy nie jest jednoznaczny. Równie dobrze można by sformułować odmienny: w otoczeniu zachowującym się pod względem moralnym naganie nienagane prowadzenie się przestaje być cnotą, staje się nieprzyzwoite. A zatem dialektyczna synteza prowadziłaby do sformułowania, że zło jest bardziej zaraźliwe od dobra.

Z wniosków bardziej szczegółowych:

Jeśli kobieta nakazuje mężczyźnie w postępowaniu z sobą naśladować innego mężczyznę, nie szuka namiastki, lecz próbuje dokonać oceny porównawczej. Konkretnie: w sztuce dotyczy to Reny i Redaktora, który dał się na to nabrać... No, ale nie zapominajmy, że autorką była kobieta...

Nie należy zdobytej po wielkich trudach kobiecie mówić o jej podobieństwach do szansonistek, choćby tylko do jednej. To jest poniżające (dla obu kobiet) i w tym tonie. Ostatniej zdobytej kobiecie, w jej obecności (nie innego nie wchodzi w rachubę, gdyż wtedy nazywa się to niedyskrecją, a z mężczyzną niedyskretnym żadna kobieta nie zechce się spotykać) należy mówić w superlatywach. Tego wymagają reguły gry; szacunek także.

Jeśli mężczyzna namawia kobietę do czynienia zła (?) nie z sobą po to tylko, żeby potem móc czynić to samo (stąd znak zapytania po słowie „zła”), należy wątpić w szczerą deklarację i intencję (w sztuce dotyczy to relacji Reny i Profesora, a w życiu... proszę wybaczyć, należy być dyskretnym).

Wzgardzona kobieta (kuzynka) i wzgardzony mężczyzna (dziennikarz) są w swoich reakcjach do siebie podobni: stają się niedyskretni, co nawet w atmosferze rozpusty, ale równocześnie i obłudy, jest niemile widziane. Nie wyróżniłbym tu żadnej płci. Jest to szczególny przejaw emancypacji. Wynika stąd i następny moral:

Rany zadane przez miłość (miłostki), jeśli nawet nie zabijają, to jednak nie goją się szybko (to o Małym).

Kobieta przyzwoita, podobnie jak najbardziej wyrafinowana hedonistka (to się zresztą nie musi wykluczać), potrzebuje i domaga się podania pretekstu ze strony mężczyzny (oglądanie obrazów, przeżroczy itp.), aby pójść do jego garsoniery. To jest także jedna z reguł gry, element przyzwoitości...

Zaradzić może tylko przyjaciółka (przyjaciel).

Miłość często pozbawia rozumu tego, kto go posiada (o Profesorze, w sztuce, oczywiście) i daje tym, którzy go nie posiadają (o Małym).

Mężczyzna, który wygłasza naukowe traktaty o miłości, nie wie, co to miłość (o Profesorze).

Kobieta (można by ją nazwać: substytutką), która przyzwala na wiele, ale za godziwą cenę (w sztuce za stołę i brylanty), jest nawet przez „high life” aprobowana, żędy nie powiedzied podziwiana; z zawiścią, oczywiście (to o Jadzi).

Emulowanie, kobiety zwłaszcza, jest ex definitione zabawą, więc nie należy tej zabawy (może nawet i kobiety) traktować poważnie.

Umawiając się z kochankiem należy strzec się nie tyle męża, własnego oczywiście (w sztuce dotyczy to brydżystów), co przyjaciółek, ponieważ meżowie przy kartach zapominają o żonach, przyjaciółki o sobie prawie nigdy. Kobiety, jak wiadomo, zachowują tylko te tajemnice, których nie znają.

O renomie mężczyzny nie tyle stanowi męskość, co opinia kobiet o jego męskości (to o Profesorze, który uciekał w poplochu, kiedy ascetka chciała go uwiść).

Kobiecie cnotliwej nawet wskazywanie na służącego (Rena o Michale) jako na wzór mężczyzny może ująć płazem, chociaż jest obraźliwe dla obecnych i pewnych siebie panów z wyższych sfer; jakoś się przecież muszą pocieszać i usprawiedliwić. Mówiąc inaczej: kryterium męskości jest niezależne od położenia społecznego mężczyzny.

Czasami odbycie służby wojskowej (to o Michale i Niuci) może być bardziej znosne i mniej katorżnicze niż „usługiwanie” paniom pełnym werwy i temperamentu, zaniedbywanym przez mężów.

Są ludzie (to o agencie zakładu pogrzebowego), którzy śmieją się wtedy, kiedy wymieniają innych.

O całym tym towarzystwie można by powiedzied: kto się sam nie szalen nie może wymagać szacunku od innych.

I na zakończenie: szalony, kto oczekuje końca szaleństw (to o niektórych widzach) i takie właśnie jest życie (albo może być) i tam należy szukać dalszego ciągu.

Na sztukę Zapolskiej należy iść obowiązkowo z żoną, ale bezwzględnie eudzą. Albo z mężem, ale nigdy własnym. Jeśli którekolwiek małżeństwo wybiera się do Teatru Kameralnego w Sopoćie wspólnie, można to uznać za perwersję, albo grubą aluzję. Ludzie chcą się bawić, w salonach i w teatrze. Ale czy odsłanianie kurtyny z samej sceny życia i pokazywanie aktorom tej sceny ich własnego zepsucia (albo ducha czasu) nie jest czasem niesmaczne? Innymi słowy, czy odważna jak na swoje czasy Gabriela Zapolska była sama — jako autorka takiej sztuki — kobietą bez skazy? Wszak dodać, że młodsi widzowie nie widzą w utworze „wstępnym” mów, które dostrzegają widzowie średniego i starszego pokolenia może się wydać archaiczna, albo banalna. Ale czasami również i tym zajęciem, co obserwacja akcji scenicznej, staje się obserwacja tej drugiej części widowni. Jej reakcja — powściągliwa, zażenowana, onieśmielona dialogami i trafnością ujęcia — niechaj świadczy o słuszności diagnozy Zapolskiej dotyczące salonów. Burzujących. I wzorzących.

KAROL TOEPLITZ